Nr. 29. Lwów, — 1899 r. Wydawnictwa Rok XXI. Serya zmieniona.

GONIEC i ISKRA.

Czasopismo perjodyczne.

Numer pojedyńczy **20** ct. w. a.

„Wesoły Kurjerek“ dla nieprenumeratorów: 10. ct. w. a. — Osobne dodatki dla nieprenumeratorów: 10. ct. w a.

Goniec i Iskra wychodzi: 15. i pierwszego dnia każdego miesiąca. Wszyscy prenumeratorowie **Gońca i Iskry** otrzymują zupełnie *bezpłatnie* drugie osobne pisma humorystyczne *illustrowane* p. t. **Wesoły Kurjerek,** wychodzące dwa razy na miesiąc: 8. i 23., oraz **bezpłatne premia.** Prenumerata na **Gońca i Iskrę** wraz z osobnym **Wesołym Kurjerkiem i premiami** wynosi, tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 zlr., półrocznie 4 zlr., rocznie 8 zlr. **Wesoły Kurjerek** dla nieprenumeratorów »Gońca i Iskry«. kosztuje **10 ct. w. a.**; tak samo *dodatki.* W Poznańskiem i w Niemczech: 16 marek rocznie, we Francji i innych krajach. oraz w Ameryce północnej 20 frank. (4 dol.); rocznie w Ameryce połudn., w Brazylji, Australji i innych częściach świata 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za miejsce jego. Nadesłane po 25 ct. od wiersza. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy. Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodnie. przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych. albo pieniężnych: **Do Administracji Gońca i Iskry we Lwowie, ul. Kraszewskiego l. 23-** Z Ameryki i z Brazylii najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi lub milrejsami *w listach rekomendowanych*, albo także przekazem pocztowym. — Listy powinny być frankowane. — Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego prenumeratora. W dniu wychodzenia pism, gdy przypada niedziela, lub święto — numera wychodzą po niedzieli, lub po święcie.

Właściciel i naczelny redaktor: **M. Dzikowski-Chamski.**

Od wydawnictwa.

Numerami: 29 „Gońca i Iskry“, oraz „Wesołego Kurjerka“, rozpoczynamy ***dwudziesty pierwszy*** *rok naszego wydawnictwa.*

Redakcja dołoży wszelkich starań, aby numera obydwóch pism, stanowiących pewną całość, urozmaicać, robić je interesującymi, przyjemnymi i pożytecznymi przedewszystkiem dla rodzin polskich, które poza wielką i małą polityką, pragną umysłowego pokarmu zdrowego, o treści popularnej, pouczającej i przyjemnej.

Szanownych panów prenumeratorów prosimy usilnie, aby zalegające należytości odsełali niezwłocznie i nie zmuszali administracji do upominania się o prenumeratę otwartemi korespondentkami, co, ostatecznie, musi nastąpić. Praca redakcyj pism polskich zasługuje na obywatelskie poparcie, a wyrządzanie wydawnictwom krzywdy, jest bezwarunkowo potępienia godne.

Prenumeratorowie płacący półroczną prenumeratę z góry (4 zł.). otrzymają ***natychmiast bezpłatnie obszerny kalendarz illustrowany informacyjny na rok 1899 p. t. „Lwowianka“*** *Wszelkie przesełki adresować należy:* ***Administracja „Gońca i Iskry“ z „Wesołym Kurjerkiem“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego 23.***

Prośba.

Nie budź mnie!... Strum strzaskanej nie nawiązuj lutni!
Nie chciej, bym własną dłonią szarpał blizny świeże
I niósł znowu — po drodze cierniowej — w ofierze,
Strzęp serca, jaki noszą pielgrzymi pokutni!...

Nie budź ty mnie!... Ja z sobą nowej nie chcę kłótni —
Słuchaj! — nieraz kłamałem — tobie powiem szczerze,
Że w powrót nowej wiosny mojej nie uwierzę,
Choć targnę struny, jako bardowie rozrzutni!...

A ty?... Podążasz z wiarą w wartkie życia tonie —
I idziesz ku mnie cudna, róż zapachem tchnąca,
Myśląc, że można w zieleń martwe wieńczyć skronie!?

Gwiazdo błędna! Wybrałbym cię jedną z tysiąca —
Lecz odejdź! — przebóg! — gdyż mam tak nieszczęsne dłonie,
Że słońce bym zagasił, gdybym tknął się słońca!..

Juljan Łętowski.

NA KSIĘDZA

NOWELA

przez L. M.

I.

Polną drożyną w dzień słotny i dżdżysty wlokła się na żółto pomalowana dryndulka, zaprzężona we dwa niezbyt rosłe i niezbyt dobrze wyglądające konie. Woźnica, człek niski i krępy okładał je od chwili do chwili batem wymawiając przytem luźne zdania i wyrazy.

— Wio gniada, a bodaj cię sparło.., wzięła lejce pod ogon... a wio ty czorta matery... wiśt, wiśt. Gdy świst bicza rozlegał się raz po raz, odzywał się gruby głos z tyłu.

— A co rzniesz chudobę, psia ci robota była, uważaj, to lejców pod zad nie zachwyci.

Wówczas przez jakiś czas wózek toczył się spokojnie, a woźnica obcierał nos palcami i spoglądał w mgliste niebo mrucząc pod nosem.

— Trzydniówka, trzydniówka.

Istotnie zanosiło się na dłuższą słotę. W powietrzu, jakąś zgniłą mgłą przesyconem, zacierały się dalej rosnące drzewa i krzaki, tworząc niewyraźne, szarzejące plamy. Ziemia poczynała rozmiękać, a tu i ówdzie czerniły się niewielkie kałuże, odbijając w swem zwierciedle ponure tło nieba. Wózek podskakiwał po nierównej drożynie, chylił się na prawo i lewo, czasem wstrząsał się gwałtownie, jakby w dreszczu nerwowym i znów wlókł się, skrzypiąc przeraźliwie.

Podróżny zwrócił się do siedzącego obok chłopaka i burknął gniewnie:

— Czego beczysz?

Zapytany w ten sposób malec, otarł spiesznie zaczerwienione oczy i odparł z cicha.

— Nie płaczę.

Ale właściciel wózka nie zadowolniony widocznie odpowiedzią, mruczał dalej w tym samym tonie.

— Będzie mi się tu mazał. To ci dopiero głupia bestja. A cóż to do wrogów jedziesz, czy się biedy boisz, czy co? Kanalia. Komorne ci znajdę porządne, będę płacił ośm srybnych miesięcznie, licha nie zaznasz, czego beksasz?

Ale chłopak znowu zaczął kułak do oczu cisnąć. Po chwili odezwał się.

— Tatuś!

— Ano?

— Kiedy przyjedziecie do mnie?

— No, nie beksaj, przyjedziemy, za miesiąc, nie chliptaj.

Malec rzeczywiście przestał płakać. Po jakimś czasie wyszeptał znowu.

— Tatuś!

— Ano!

— Wezmiecie ze sobą Marynkę?

Stary się żachnął.

— Skapcaniałeś? cudze bachory będę ze sobą woził, a tobie po co tego nieszczęścia. Jedziesz Janek do łacińskich, a takiś jeszcze nie przymierzając, durny.

Janek zamikł, ale począł konwulsyjnie zaciskać usta i mrugać powiekami, wreszcie wcisnął głowinę pod rękę ojca.

Opadły go czarne myśli. Jeszcze rano był w domu, jeszcze rano bawił się z Marynką od kowala, strząsał śliwki z drzewa a teraz... ot strasznie jakoś przykro i w gardle coś dławi. Bodaj te szkoły i to w dodatku jakieś łacińskie, Boże! jak on zrozumie po łacinie, kiedy umiał tylko po rusku, no i znał parę rozmówek z niemieckiego Komeniusza. To słowo „łacińskie“, brzęczało mu w uszach nieznośnie. Był przecie w miasteczku dobrym uczniem, dostał śliczną nagrodę pilności w czerwony papier oprawną, ale tam po łacinie nie gadali.

Tymczasem deszcz począł padać coraz obficiej, obryzgując wózek, ludzi i konie.

Kasper woźnica począł kląć.

— Bodaj pies z suką wesele w taki czas odprawiał, a nie ludzie jeździli. A to ci paskuda! tfu!

Stary Grzegorz kazał skręcić do wsi.

— Niby wedle tego — tłómaczył furmanowi — bo Jankowi szpencerek zachlasta.

Tu zwrócił się do syna.

— Na! zawiń się chustką, wsadź ręce w rękawy, czego beksasz. Nie beksaj, staniemy we wsi u wujka Walentego, może jaką płachtę pożyczę, zobaczysz wujka.

W jakie pół godziny dojechali rzeczywiście do wioski i stanęli przed chaciną, w której mieszkał diak cerkiewny z rodziną. Diakowstwo ujrzawszy krewniaka, chcieli go gwałtem zatrzymać, ale wytłómaczył się im, że wiezie syna do łacińskich, ażeby się uczył na księdza, więc nie może stawać, prosi tylko jakiej płachty, albo czegoś podobnego, bo na dworze "chlasta". Dano mu nie płachtę, lecz ogromny para-

sol, z trzciną w miejsce drutów i z kilkoma łatami wszystkich kolorów tęczy.

Jechali dalej. Zabezpieczony już teraz przed deszczem Grzegorz, począł filozofować na temat parasoli.

— To ci jucha — mówił — naciągnęli szmatę na patyki, a człowiek nie boi się już nijakiego dryzganiu... To tak, jakby kto nieprzymierzając, wściekłemu psu zęby powybijał; aha, szczekaj psia paro, ale tyle mi twoje szczekanie, co śnieg zeszłoroczny.

Dojechali do miasta. Że było już wieczór, stanęli w porządnej oberży „pod Kapucynem", odkładając wyszukanie stancji do dnia następnego. Nazajutrz skoro świt, wyszedł Grzegorz z synem na miasto, by rozglądnąć się za kartkami tak mu bowiem na wsi radził ksiądz proboszcz. W duszy życzył sobie, by mógł znaleść pomieszczenie gdzie u jakiego porządnego szewca. —

— Zawsze to — myślał — może coś Janek połapać, a choć księdzu nie wypada butów robić, to ktoby tam wiedział, skąd on je bierze. Kupił i basta i co komu do tego — a taki pieniądze zostaną w kieszeni. Szedł ulicami i czytał kartkę po kartce.

»Bardzo porządny wicht, opierunek za mierne wynagrodzenie».

»Dla panów i pań, osobne pokoje umeblowane po cenach niskich«.

«Dla panów studentów pokój z przedpokojem. Obsługa żeńska«.

— Tfu! — splunął Grzegorz.

»Pomieszkanie kontem i wicht dla studentów. Ceny niskie, opieka rychtelna. Do wynajęcia zaraz, albo jeszcze prędzej. Wiadomość u szewca Kantyczki, ul. Słoniowa 89.

— To jest fajna stancja — zakrzyknął z zadowoleniem Grzegorz — a przytem jak się ładnie nazywa — »Kantyczka«, jakie nabożne nazwisko.

Udał się na wskazane miejsce. Szewc mieszkał w podwórzu, w wysokiej, trzypiętrowej kamienicy, której ściany tchnęły jakąś surową wilgocią. Rzadko tu zachodziły promienie słoneczne, a śmiecisko olbrzymich rozmiarów zionęło duszącemi i zgniłemi woniami.

— Nie przymierzając, jak w chlewie, na ten przykład — mruknął lubujący się w porządku Grzegorz.

Wnętrze pomieszkania okazało się jeszcze gorsze. W ciemnej izbie, zarzuconej kawałkami skóry, starego obuwia i wszelkimi innymi gatunkami różnego rupiecia, leżała na tapczanie jakaś wybladła kobieta, którą zrazu, z powodu zmroku, zaledwo można było dojrzeć Wszystkie ściany i kąty zarzucone były gratami, zastawione stołami, stołkami, komodkami i szafami, ale majster twierdził, że jest jeszcze miejsce na czterech studentów.

Biedny Janek przeląkł się tej nory i począł szarpać ojca za rękaw, dając mu niejako w ten sposób do poznania, że radby opuścić ten magazyn starzyzny i rupieci, ale Grzegorz nie chciał sobie tak niepolitycznie poczynać, więc usiadł na wysokiem, drewnianem trójnożnem krześle, które zawyło pod nim jakimś okrutnym głosem i zapytał:

— Więc na ten przykład, jaka zapłata panie majster?

— Z opierunkiem, czy przez opierunku?

— Z opierunkiem.

— O, to będzie drożej, to będzie sześć złr. za cztery niedziele.

Sześć złr. za cztery niedziele, ależ to znakomicie, dwa reńskie pozostaną w kieszeni, a przy takim jak tego roku nieurodzaju, dwa reńskie to nie lada głupstwo, a przytem może jeszcze coś opuści. Można spróbować.

— A przez opierunku — zapytał.

— Przez opierunku 5 złr. 50 centów.

— A jabym wam dał panie majster z opierunkiem 5 złr. 50 centów.

— Nie mogę, jak dzieci kocham, żebym tak nie wstał — tu majster Kantyczka wstał pospiesznie — skarz mię Boże, jak łżę.

— Panie majster, taż to korzec pszenicy trzebaby i tak na jeden miesiąc.

— Prawda, prawda, ale cóż, ja nie mogę.

Wtem Grzegorz spostrzegł leżącą w kącie kobietę.

— A cóż to, to pewnie pani majstrowa, chora bidna.

— Chora, chora, odrzekł Kantyczka, — to już tak od roku coś ją z dołu ciśnie, na nic wszystkie dochtory.

— Widzicie panie majstrze, spuśćcie mi na komornem, może za to Bóg da waszej kobiecie wylaznąć z łóżka.

Majster widocznie był zabobonny, bo począł szybko przebierać palcami po kolanie, wreszcie po niejakiem wahaniu rzekł:

— Niech będzie. — i podali sobie dłonie.

II.

Vocales inter vocales breves sunt, vocales inter vocales breves sunt... powtarzał Janek, chodząc z książką w ręce po ciemnej izbie. I nie taka trudna ta łacina, jak myślał przedtem, tyleby złego, co tej nauki, są inne rzeczy gorsze. Ot od czasu, jak mieszka u szewca, nigdy nie zjadł do syta, dadzą mu na obiad kartoflanej zupy, albo raczej kartofli na wodzie i kaszy bez omasty i po wszystkiemu. Janek początkowo nie mógł się przyzwyczaić do tych potraw.

W domu było inaczej — kiedy matula nagotowała barszczu z jarzyną, a napiekła gołąbków, to był raj — a po obiedzie szli z Marynką na wiśnie, a kiedy śliwki zaczęły dojrzewać, to wyłazili na drzewa śliwkowe i używali, aż się dusza radowała. Jakoś mu strasznie żal za tą Marynką i ojciec obiecał przyjechać i nie przyjechał ot wszystko uwzięło się na niego. *Vocales inter vocales breves sunt.* Kto wie, może ojciec na wszystkich świętych nadjedzie, a może i Marynkę przywiezie... oj, Boże święty, tożby to była radość, co za radość. Najgorzej mu przykro, że go tu nikt do siebie nie przygarnie, nie przytuli, że nie usłyszy dobrego słowa, chyba od jednego profesora łaciny, kiedy dobrze odpowiada.

Ale on tu sobie myśli byle co, a tu już i czasu brak. Niech będzie co chce, ale przecie trudna ta nauka.

Westchnął ciężko i przybliżył się z książką w ręku do okna. *Vocales inter vocales breves sunt.*

Płynęły mu dnie i tygodnie wśród ciężkiej pracy, choć nieraz głód szarpał mu wnętrzności. Zdarzało się, że majster oderwie go od nauki i poszle po co do sklepu, niebacząc na to, że Janek czasu nie ma ni chwilki Ale ten słuchać musiał, był naocznym świadkiem egzekucyj, wykonywanych za pomocą pociągla na biednym Karolu, chłopaku przyuczającym się u majstra rzemiosła.

Pewnego razu, gdy był w szkole, a było to w poniedziałek rano, zapukał do klasy dyrektor zakładu i kazał sobie wywołać Jana Czaplę. Wybiegł zafrasowany Janek pytając się w myśli, jaki też interes może mieć do niego pan dyrektor, kiedy ten poklepał go po ramieniu i rzekł.

— Ty się dobrze uczysz chłopąku, a masz ty jaką lekcję?

— Nie, nie mam proszę pana dyrektora — odrzekł rumiany, jak wiśnia nie rozumiejąc, do czego dyrektor zdąża.

— A jesteś potrzebny, czy twoi rodzice majętni — pytał dalej dyrektor Janka.

— Nie, moi rodzice biedni.

— To wziąłbyś lekcję?

Jakoś dziwnie zrobiło się Jankowi, gdy usłyszał te słowa — on taki mały ma być profesorem, wszak nie ma wąsów, ani brody, znał tylko profesorów z wąsami i brodą.

Zmieszał się więc mocno, ale odrzekł.

— Wziąłbym, proszę pana dyrektora.

— No to przyjdź do mnie do kancelarji jutro o 11-tej — pomówimy, będziesz uczył kolegę ze swej klasy. No, idź do klasy.

Jenek pocałował dyrektora w rękę i wrócił nieprzytomy prawie do izby szkolnej. W głowie czuł chaos i zamęt. Działo się z nim coś dziwnego — on miał uczyć swego kolegę i brać prawdopodobnie za to pieniądze. Ależ to nie podobne. Jak to się ojciec i matka ucieszą, gdy dowiedzą się, że ich syn już taki mądry, że drugich uczy. Tego dnia z wykładów profesorów stanowczo nic nie wiedział i nie rozumiał.

Nadrugi dzień rzeczywiście dostał lekcję. Pewien ojciec którego jedynak chorował już na kawalera dał Jankowi jako wynagrodzenie miesięcznie 6 zł., obiecując przytem schodzoną przez syna garderobę. Janek został panem. Mógł teraz własnymi pieniądzmi płacić za siebie stancję, mógł ulżyć ciężaru rodzicom, a nadto mieć do rozporządzenia miesięcznie cały jeden złoty, Napisał list do domu na całym arkuszu Uściskał tam wszystkich, ojca, matkę, nawet Burka i Marynkę; zdawało mu się wówczas, że dwóch jest ludzi najszczęśliwszych na ziemi, cesarz i on. Cesarz, bo chodził w złotym ubraniu i jadł tylko pieczeń i lody, on, bo miał tyle pieniędzy na miesiąc, że choćby co chciał z nimi zrobił, to jeszcze miał za wiele. Żył tak szczęśliwy i wesoły przez cały prawie miesiąc, aż wreszcie nadszedł czas Bożego Narodzenia. Po Janka przyjechał ojciec i zabrał go do domu. Przez całą drogę wypytywał Janek tatusia o matkę, o burka, o gospodarstwo, o Marynkę, śmiejąc sie, ciesząc i nie posiadając z radości. Po długiej drodze dojechali wreszcie do wsi rodzinnej. Był już wieczór, więc ciemność i cisza była wielka, tylko z okien pozapadałych chat błyskało niepewne światło, tylko tu i ówdzie pies się zerwał i zawarczywszy złowrogo puścił się w tany przed końmi, dopókąd zmęczony gonitwą i ujadaniem nie wrócił do zagrody. Matula o mało nie zadusiła w uściskach drogiego jedynaka i zaraz zastawiła przed nim krupnik ze słoniną, pół kurczęcia, jabłka i orzechy. Janek nieśmiało pytał o Marynkę.

— Dobrze, żeś mi przypomniał. — Zaraz do nich pójdziemy — odrzekła matka — ja mam pomagać dzisiaj piec kowalowej, a ona mnie jutro; zaraz pójdziemy.

Ale tymczasem rozległo się przed drzwiami tupotanie i do izby weszło dwoje osób. Słuszny, barczysty mężczyzna trzymał za rękę ośmioletnią może dziewczynkę i uśmiechał się pod wąsem.

— O, pan kowal — zawołał ze zdziwieniem diak Czapla — taż to kopa lat, jak nie byliście u mnie.

— Wedle waszego syna — mówił kowal — wedle syna, Marynka uparła się, żeby iść, aż w końcu beczeć zaczęła, więcem ja ją w chustkę, obtego, jak że się nazywa owinął, a sam czapkę na ucha, tej przyszedł.

Marynka stała zarożowiona obok ojca i zasłaniała twarz rączkami

— No, przywitajcie się — mówił diak.

— Pocałujcie się — dodała diaczycha.

Ale im jakoś nie szło.

Ona twarzyczkę za ojca chowała, on zaś choć wprawdzie śmielszą miał minę, ale od czasu do czasu w ziemię spoglądał. Tymczasem rodzice nie przestawali zachęcać.

— No Janek, przecieś z miasta przyjechał. Cóżeś taki nieśmiały, przywitajże się z Marynką.

Natenczas Janek zbliżył się do swej przyjaciółki, objął ją z wielką powagą za szyję i pocałował w same usteczka. Starzy śmiali się.

— Udał mi się zięć — mówił kowal — ja swoją babę teraz przy świadkach tak bym nie pocałował.

— Ha, kto to może wiedzieć, kto to może — odrzekła diaczycha — może akuratnie Marynka będzie moją synową. No chodźże Marysiu niech cię pocałuję — i ona się na Janka patrzy. Powstał nowy śmiech.

— Nie paskudźcież że mi tak dziewczyny — zawołał kowal — jeszcze mi ją we wsi obgadają.

Ale Janek z Marynką wzięli się już za ręce i usiedli na paczce. On jej począł opowiadać o profesorach, jak to on dobrze umiał pierwszą koniugację, jak najlepiej wiersze deklamował, ona mu zaś mówiła o Burku, o krasej kotce, jak jej ogon osmalili i o wróblu, którego ma w klatce. Gawędzili do późna, aż wreszcie wszyscy poszli do kowala, do domu.

III.

Dużo czasu minęło od owego wieczora. Janek był już w siódmej gimnazjalnej, uczył się zawsze dobrze, ale na zdrowiu zapadał. Mieszkał wciąż u szewca Kantyczki, ale ten podniósł mu płacę miesięczną z biegiem czasu, z sześciu zł. na piętnaście, które sam musiał Janek lekcjami zarabiać, bo ojca jego już przed trzema laty zimna skryła mogiła. Janek aż trzem uczniom musiał lekcyj udzielać, aby uzyskać potrzebną sumę. Wracał z lekcyj dopiero po 9-tej, nieraz i później i sam wtedy zabierał się do nauki; uczył się tak do dwunastej. W zimie szalem owinięty, spieszył do gimnazjum, drżąc cały pod wpływem mrozu.

Na licach pojawiły mu się ciemne rumieńce, a suchy kaszel począł pierś mu szarpać. Profesorowie zwracali kilkakrotnie uwagę na stan jego zdrowia, zalecając wyjazd na wieś. On przemagał się i uczył dalej. Miał wtedy na myśli matkę i Marynkę. Matce chciał dać chleb na stare lata, a z Marynką... z Marynką po skończeniu teologii myślał się ożenić.

Wreszcie raz oświadczył mu stanowczo gospodarz klasy, że go do szkoły nie przyjmie, żeby wyjechał na jakiś czas na świeże powietrze, bo gotów zapaść na piersiową chorobę. Janek musiał posłuchać. Smutny, wyjechał na wieś do matki.

Było to lato. Dnie były skwarne i gorące, słońce paliło ze zdwojoną mocą, powietrze drżało wskutek żaru migotliwym połyskiem. Janek siedział nad rzeką przy brzegu lasu i patrzył w dal na spokojnie płynące fale. Słońne srebrzyło się długim słupem w błękitnej toni Dniestru, tysiące owadów i muszek dzwoniło monotonną nutą, gdzieś z głębi lasu dochodziło miarowe stukanie dzięcioła. Janek patrzył i słuchał. Wsparł głowę na ręce i oczy bezmyślnie utkwił w błękit. Na wsi czuł się daleko lepiej. Kaszlał mniej, chorobliwe rumieńce poczęły mu znikać z twarzy, powoli wracało zdrowie i wesołość. Mógł myśleć o powrocie do szkoły. W tem zaszeleściało coś za nim i umilkło. Po chwili szelest rozległ się znowu. Janek obejrzał się i ujrzał stojącą za jego plecyma Marynkę.

— Szukałam cię — rzekła do niego — tak rzadko cię teraz widzę.

— Dziękuję ci Maryniu, ty jesteś ciągle przy gospodarstwie zajęta.

— Tak, ale dziś niedziela, a ty do nas nie przyszedłeś.

— Wybierałem się wieczór. Siadaj koło mnie Maryniu. Marynka usiadła na murawie.

— Smutny dziś jesteś jakiś — rzekła znowu — co ci Janek?

Janek ręką machnął.

— Et nic, drobnostka — i westchnął.

— Cóż takiego, powiedz.

— Nic, muszę we wtorek wracać do miasta i smutno mi jakoś.

Marynka położyła mu rękę na ramieniu.

— Już wyjeżdżasz — spytała głucho.

— Ha! wyjeżdżam — bagatela, wrócę niedługo, doprawdy śmieszny jestem, że się smucę.

Marynka patrzyła długo w spokojne wody Dniestru, wreszcie otarła łzę z oka. Janek w pół ją objął.

— Nie płacz Maryniu — mówił drżącym głosem — Maryniu daj spokój, bo ja nie wiem co, bo ja... Maryniu nie płacz...

Nagle pochylił się do niej i zaczął ją całować po ustach, po oczach, po rękach. Ona broniła się i nie broniła, jemu oczy błyszczały jak dwie pochodnie i coraz namiętniej okrywał ją pocałunkami. Wtem, tuż nad samą głową Marynki ozwał się dźwięczny głos zuzuli; kuku, kuku! Marynka zerwała się przerażona i uciekła. Janek pozostał sam, patrzył przez jakiś czas błędnie w okół, wreszcie wstał i zawołał:

— Przecie człowiek może być podłym.

* *

Janek zdał maturę. Przed maturą jednak, wszelkie symptomata choroby pojawiły się na nowo. On nie czuł tego, tylko uczył się, uczył, Oczy wpadły mu w głąb twarzy, głos jego stał się chrapliwy, nieczysty. Raz, gdy w nocy późno siedział, splunął i zdawało mu się, że krew zobaczył. Napił się wody i uczył się dalej. Wreszcie zdał maturę, otrzymał świadectwo z odszczególnieniem. Ujrzał przed sobą drogę otwartą — myślał: przecie życie jest piękne. Z chwilowej choroby piersiowej wyleczy się wszakże przez ciąg wakacyj — a potem, potem wszystko już będzie dobrze. Wakacje rzeczywiście polepszyły stan jego zdrowia. Bił w kuźni młotem u ojca Marynki, rąbał drwa, żął zboże. Kaszel wszakże nie opuszczał go, czasem również zakłuło go gwałtownie w boku. On nie robił sobie nic z tego.

Oświadczył się formalnie kowalowi o Marynkę, został przyjęty. Przez miesiąc opowiadał stary wszystkim, jaki córka los zrobi, jak za cztery lata będzie księdzową.

Po ferjach, pojechali obaj, Janek z kowalem do Lwowa. — Janek celem zapisania się na teologię, kowal do notarjusza w jakiejś sprawie spadkowej. Gdy Janek stanął przed rektorem wydziału teologicznego, ten pokiwał znacząco głową, zadał mu kilka ogólnikowych pytań, wreszcie prosił, żeby przyszedł po południu koło godziny czwartej. Janek nie umiał sobie z zachowania rektora zdać sprawy. Po południu zastał u rektora znanego sobie doktora Chwaliszewskiego.

— Pan konsyljarz będzie łaskaw zbadać tego pana — rzekł rektor, zwracając się do lekarza i wskazując na Janka

— Ależ my się znamy — odrzekł lekarz — pan Czapla, a! ta choroba piersiowa, hm, hm... no proszę pana.

Opukał go uważnie i przez jakiś czas milczał.

— Nie, kochany panie — rzekł wreszcie — może na drugi rok, jeszcze są ślady słabości, może później, trzeba z rok odpocząć.

Jankowi zaszumiało w głowie, ogarnęła go jakby ciemność

— Jak, za rok dopiero — zapytał?

— Tak mniej więcej, trzeba odpocząć! kochany panie.

— Czy nie mogę w żaden sposób teraz się zapisać?

— Trudno, kochany panie, teraz łatwiej się wyleczyć, potem byłoby może zapóźno, a świeże powietrzo, to grunt.

— Ha, to do widzenia.

— Do widzenia, a niech się kochany pan szanuje, przedewszystkiem nie męczyć się i dobrze się odżywiać, do widzenia.

Na drugi dzień kowal, który przyszedł zapytać się rektora o powód odroczenia przyjęcia Janka na teologię, dowiedział się, że Janek ma suchoty galopujące...

Produkcja maszynowa.

Jednym z najpotężniejszych czynników współczesnego przemysłu jest maszyna. Jej też poświęcimy tu słów parę ze względu, że wpływ jej na stosunki społeczne dziś już jest bardzo znaczny, a w przyszłości wzmoże się jeszcze do większego stopnia.

Zastosowanie maszyn w przemyśle datuje się od bardzo dawnego czasu, — ale ich zastosowanie na wielką skalę ma miejsce od przeszłego wieku. Nie trudno też sobie wyobrazić, że praktyka tak długiego perjodu czasu, mogła dostarczyć nauce olbrzymiego materjału cyfrowego dla wykazania tego, lub owego działania maszyny na stosunki społeczne. Tak też jest w istocie.

Dziś poruszymy tu jedną stronę wpływu maszyny, a mianowicie ten fakt, że zaprowadzenie jej w danym przemyśle, wywołuje pozbawienie pracy wielu robotników.

Jednak znalazł się w Ameryce statystyk, który stara się wykazać, że choć maszyna wyrzuca wiele rąk z fabryki, to i tak ręce te znajdują zatrudnienie w innem zajęciu, które zastosowanie maszyn wytwarza. Statystykiem tym jest p. Carroll D. Wright.

Ale Stany Zjednoczone mają jeszcze innych uczonych statystyków, a jeden z nich p. S. Wood Davis, wykazuje przeciwnie w jednym z ostatnich numerów czasopisma »Forum«, że p. Wrigth grubo się myli w powyższem twierdzeniu.

Jeśli weźmiemy pod uwagę przemysł żelazny, to według p. Wrigth.'a, znajdują te ręce, które postradały pracę z nadejściem maszyn, dostateczne zatrudnienie w tym samym rzemiośle z powodu opadania ceny, żelaza i większego zapotrzebowania. W roku 1870 spotrzebowano żelaza przeciętnie 105 funtów na głowę ludności, zaś roku 1890 spotrzebowanie to urosło do 283 funtów na głowę.

Na te wywody odpowiada p. S. Wood Davis, iż najpierw p. Wright podał nieprawdziwą cyfrę spotrzebowania żelaza w r. 1870, bo była wyższą, mianowicie: 143 funtów na głowę. Dalej p. Davis wykazuje, że twierdzenie Wright'a jakoby pozbawione pracy ręce znalazły zajęcie w tym samym przemyśle z powodu większego zapotrzebowania jego wytworów jest nieprawdziwem. Oto dowód: Potrzebna praca do wytworzenia 143 funtów żelaza na głowę kosztowała w r. 1870 dol. 2.57; zaś praca przy wytworzeniu, 283 funtów na głowę w r. 1890, kosztowało tylko dol. 2.33. A więc teraz, gry więcej się wytwarza, mniej potrzeba rąk i stosownie do wagi żelaza jest prawie trzy razy tańszem, niż dwadzieścia lat temu. W r. 1870 potrzeba było więcej rąk do wytworzenia mniejszej ilości żelaza, niż w r. 1890.

Te same skutki wytwarzania maszynowego spotykamy w przemyśle bawełnianym. Tu maszyna znalazła olbrzymie zastosowanie i tu też tysiące tkaczy znalazło się na bruku z powodu jej wprowadzenia. Pomimo to, p. Wright twierdzi, że wzrost pobytu na bawełnę i większe jej wytwarzanie dały zatrudnienie pozbawionym tegoż; albowiem dawniej spotrzebowano 10 funtów bawełny na głowę, a w 1890 aż 19 funtów na głowę.

P. Davis wykazuje cyframi, że choć zapotrzebowanie na głowę wzmogło się, to jednak zwiększone wytwarzanie r. 1890 wymagało o połowę mniejszej ilości rąk niż w roku 1830 ówczesne. Spotrzebowanie wzrosło w tych latach z 10 funtów na 19 funtów na głowę. Tymczasem procent wytwórczości rąk przy maszynach wzrósł o 270 proc.

W rolnictwie te same skutki maszynowej pracy.

Farmy Stanów Zjednoczonych były w r. 1870 obrobione przez 2.981.320 właścicieli, lub dzierżawców i przez 2.660.000 robotników, którzy mieli na osobę 17 akrów ziemi do obrobienia. Ulepszenia w rolnictwie doprowadziły do tego, obecnie jedna osoba może obrobić 26 akrów. Liczba farmerów wzrosła w ostatnich 20 latach do cyfry 4.565.000. Ale też i przestrzeń uprawnej ziemi powiększyła się. Gdyby teraz nie było maszyn, to uprawa ziemi wymagałaby dziś 12.730.000 ludzi. Nowe jednak maszyny i narzędzia pozwalają uprawiać dziś zwiększoną przestrzeń ziemi rękami 8,300 000 ludzi.

Z powyższych cyfr jasno widzimy, że maszyny odbierają wielkiej ilości mieszkańców zarobek. Faktowi temu nie postawią tamy ani naciągania statystyczne w rodzaju pana Wrighta, ani niszczenie maszyn przedsiębrane przez robotników angielskich w pierwszej połowie tego wieku i w końcu zeszłego. Maszyna bowiem nie jest wytworem urojonej fantazji, ale wytworem postępującego i rozwijającego się przemysłu. Dziś, gdy ona jest w posiadaniu prywatnem, staje się środkiem wyzysku tysięcy robotników, ale gdy przejdzie razem z innymi środkami wytworu, oraz komunikacji, na własność społeczeństwa, wówczas wszelkie ulepszenie w narzędziach, wszelki wynalazek upraszczający pracę pociągną za sobą skrócenie czasu pracy i powiększenie bogactwa *społecznego*, a nie jak dziś, osobnikowego.

A. F. Kowalski.

Matka.

Opowiadanie z czasów oblężenia Paryża.

Przez Alfonsa Daudet'a.

Pewnego dnia wybrałem się do fortu Mont Valerien odwiedzić mego przyjaciela, malarza C., porucznika w gwardji ruchomej departamentu Sekwany. Właśnie dzielny ów chłopak był na warcie i nie mógł za nic w świecie ruszyć z miejsca. Jak majtek na służbie, musiał ciągle chodzić przed galerją podziemną fortu, rozmawiając o

Paryżu, o wojnie i o naszych ukochanych nieobecnych.

Nagle mój porucznik, który w mundurze żołnierskim pozostnł zawsze malarzem w duszy, przerywa, zatrzymuje się, chwyta mnie za ramiona i woła cichym głosem:

— Co za piękne typy! jakby z obrazu Daumiera.

Tu oczami, które mu się zaiskrzyły, jak u psa myśliwskiego, wskazał mi dwie sylwetki, ukazujące się właśnie na płaszczyźnie pagórka.

Piękne typy, rzeczywiście. Mężczyzna w kasztanowatego koloru surducie z zielonym aksamitnym kołnierzem, jakby zrobionym z mchu drzewnego, szczupły, mały, czerwony jak rydz, z czołem płaskiem, okrągłemi oczyma i nosem w kształcie sowiego dzioba. Istna głowa ptasia z twarzą pomarszczoną i głupkowatą. W jednej ręce niósł torbę wyszywaną w kwiaty, z której wyglądała szyjka butelki, pod pachą zaś puszkę z jakiemiś konserwami, sławną puszkę z białej blachy, na którą paryżanie nie mogą patrzeć, ażeby nie przypomnąć sobie pięciomiesięcznego oblężenia. Kobieta zwracała uwagę najprzód olbrzymim kapeluszem w kształcie budy, miała na sobie stary szal, który przykrywał ją obciśle od stóp do głowy, uwydatniając w całości jej chudość; z pomiędzy zmiętych ozdób kapelusza, wyglądał koniec nosa i kilka nędznych kosmyków siwiejących włosów. Wszedłszy na płaszczyznę, mężczyzna zatrzymał się, ażeby trochę odetchnąć i obetrzeć czoło. Nie było wcale gorąco tu na górze w mglistem powietrzu listopadowem, ale oni szli tak prędko.

Kobieta nie zatrzymała się wcale. Idąc prosto ku galerji, popatrzyła chwilkę na nas z pewnem wahaniem, jakby chcąc się o coś pytać, ale onieśmielona widocznie oficerskimi galonami, wolała zwrócić się do szyldwacha i usłyszałem, jak bojaźliwym głosem spytała, czy może widzieć się ze swym synem, żołnierzem trzeciego batalionu, szóstej brygady gwardji paryskiej.

— Pozostańcie tu — powiedział żołnierz — pójdę, zawołam go.

Uszczęśliwiona, westchnęła tem westchnieniem, które przynosi ulgę i zwróciła się do męża. — Odeszli oboje i usiedli na uboczu, na skraju pochyłości.

Czekali tam dość długo. Fort Mont Valerien jest tak wielki, składa się z tylu dziedzińców, szańców, baszt, koszar, kazamatów. I jak tu szukać jakiegoś tam żołnierza z trzeciego batalionu, szóstej brygady w tem mieście bez końca, zawieszonem pomiędzy niebem i ziemią, wznoszącem się ślimakowato w pośród chmur, jak wyspa Laputa. Prócz tego, o tej porze w twierdzy wciąż słychać odgłosy bębna, trąbki, kroki biegnących żołnierzy, brzęk konewek. Zmieniają się straże, wyznaczają roboty, rozdają pożywienie; oto wolni strzelcy pędzą uderzeniami kolb jakiegoś szpiega, tam wieśniacy z Nanterre przyszli do generała na skargę, jakaś sztafeta wpada galopem — człowiek znużony, koń cały spocony; z przednich straży przywożą rannych, którzy leżąc w koszach na mułach, jęczą żałośnie, jak chore jagnięta; majtkowie ciągną na linach nową armatę przy dźwiękach fletu i okrzykach: «hissa! ha!», pasterz w czerwonych spodniach z karabinem na skórzanym pasie przez ramię z prętem w ręku, pędzi stado forteczne. Wszystko to idzie, krzyżuje się, wpada do lochów i ginie, jak za niską bramą karawanseraju na Wschodzie.

— Żeby przynajmniej nie zapomnieli o moim chłopcu — mówiły tymczasem oczy biednej matki, która co pięć minut wstawała, zbliżała się dyskretnie do bramy wchodowej, rzucała bojaźliwe wejrzenia na całe podwórko, przytulając się do muru, ale nie zapytywała o nic nikogo, bojąc się ośmieszyć dziecko. — Mężczyzna, jeszcze bardziej bojaźliwy, nie ruszał się z miejsca; za każdym razem, kiedy matka powracała ze swej wędrówki, łajał ją za niecierpliwość, tłómaczył obowiązki służby, gestykulując przytem mocno, jak niedołęga, który chce, żeby go słuchano.

Zawsze byłem bardzo ciekawy tych małych scen milczących i poufnych, które się odgaduje więcej, niż widzi, tej pantominy ulicznej, która was potrąca, gdy idziecie i czasem jednem poruszeniem odsłania całe nowe istnienie. Ale co tutaj mnie najbardziej pociągało, to pewna jakaś niezręczność, pewna naiwność tych dwojga ludzi i doznawałem prawdziwego wzruszenia, kiedy z ich mimiki wyrazistej i jasnej, jak dusze dwóch aktorów Serafina, mogłem sobie wysnuć cały przecudowny dramat rodzinny.

Zdawało mi się, że widzę matkę, która mówi pewnego pięknego poranku:

— Ten pan Trochu nudzi mnie tymi swymi kazaniami. Już trzy miesiące nie widziałam mego dziecka, muszę pójść, żeby go uścisnąć.

Ojciec, człowiek bojaźliwy, prosty, przerażony myślą o trudnościach, jakie trzeba będzie przezwyciężyć, ażeby wyrobić pozwolenie, próbował odciągnąć ją od tego zamiaru.

— Mój aniele, nie myślisz o tem, że ten fort Mont Valerien jest djabelnie daleko. Jakże dobierzemy się tam bez powozu? Zresztą, jest to przecież cytadela i kobiety nie mogą tam wchodzić.

— Ja wejdę — powiedziała matka, a ponieważ robił zawsze wszystko, co chciała i teraz więc wziął się do dzieła.

Poszedł do sekcji, do merostwa, do głównego sztabu, do komisarza, pocił się ze strachu, drżał z zimna, pukał do wszystkich drzwi, nie trafiając często od razu tam, gdzie potrzeba, wyczekiwał po dwie godziny w jakiemś biurze, które, jak się okazało, nie było właściwem. Nareszcie wrócił wieczorem do domu, z pozwoleniem gubernatora w kieszeni. Na drugi dzień wstali raniutko przy lampie, drżąc z zimna. Ojciec przegryzł jakiś kąsek, ażeby się rozgrzać, matka nie czuje głodu. Ona woli zjeść śniadanie tam z synem. Ażeby uraczyć trochę biednego żołnierza, wkłada do worka wszystko, co tylko można mieć podczas oblężenia: czekoladę, konfitury, wino w zapieczętowanej butelce, wszystko, nawet puszkę za którą zapłacono ośm franków i którą starannie chowano na czas największego głodu. W końcu udali się w drogę. Kiedy przybyli do szańców, zaledwie otwierano bramy. Trzeba było pokazać pozwolenie. Tu matka była więcej wystraszona. Ale nic! zdaje się, że wszystko w porządku.

— Puśćcie ich, niech przejdą — powiedział dyżurny adjutant.

— Bardzo grzeczny ten oficer.

Lekkim kroczkiem, jak młoda kuropatwa, prędko spieszy naprzód. Mężczyzna zaledwo może zdążyć za nią.

— Moja droga, nie idź tak prędko.

Ale ona nie słyszy go. Tam wysoko, widniejące zdala wzgórze Valerien wabi ją ku sobie:

— Chodź prędzej, on jest tu.

Kiedy przybyli, nowy niepokój ich trapi.

A nuż go nie znajdą, a może nie będzie mógł przyjść.

Nagle ujrzałem jak drgnęła, uderzyła po ramieniu starego i zerwała się jednym susem.

Zdala, pod sklepieniem podziemnej galerji, rozpoznała kroki syna.

— To on!

Kiedy się ukazał, cały front twierdzy jakby się rozjaśnił.

Ładny chłopak, aż miło! pięknie zbudowany, z bronią na ramieniu i tornistrem na plecach. Zbliżył się do rodziców z twarzą otwartą i głosem męzkim, wesołym zawołał:

— Dzień dobry, mamo!

Za chwilę płaszcz tornister, karabin, wszystko znikło pod dużemi rondami matczynego kapelusza. Potem przyszła kolej na ojca, ale to już trwało daleko krócej. Wielki kapelusz z rondami, chciał wszystko dla siebie zabrać. Był nienasycony.

— Jakże się masz? Czy dobrze jesteś ubrany? A jakże z bielizną?

Czułem, jak z pod skrzydeł kapelusza obrzucała go od stóp do głowy długiemi wejrzeniami, pełnemi miłości, w pośród deszczu pocałunków, łez i uśmiechów; oddawała mu cały zapas macierzyńskiego uczucia, jaki się nagromadził w ciągu tych trzech miesięcy. Ojciec był także bardzo wzruszony, ale nie chciał tego okazywać. Widział, że patrzymy na niego i mrugał oczyma w naszą stronę, jakby chciał powiedzieć:

— Wybaczcie jej, to kobieta.

Czy ja jej wybaczałem!

Nagle dźwięk trąbki zdmuchnął tę radość jasną.

— Wołają, muszę odejść.

— Jakto! nie zjesz z nami śniadania?

— Ależ gdzie tam! nie mogę! Idę na wartę przez 24 godziny na samym szczycie twierdzy.

— Oh! — jęknęła biedna matka, nie mogąc powiedzieć nic nadto.

Przez kilka minut wszystko troje pozostali nieruchomi, patrząc na siebie wzrokiem przerażenia. W końcu, ojciec pierwszy przerwał milczenie:

— Przynajmniej zabierz ze sobą tę puszkę — powiedział rozdzierającym głosem, w którym czuć było silne uczucie i komiczną boleść żarłoka, z powodu wyrzeczenia się smacznego kąska.

Ale pod wpływem jakiejś trwogi i wzruszenia, nie mogli znaleść tej obrzydłej puszki; litość brała patrzeć na te drżące gorączkowo ręce, które się szybko poruszały, szukając jej, słyszeć te głosy, przerywane łzami: puszka! gdzież ta puszka! — nie wstydzono się dołączyć tego grobnego szczegółu gospodarskiego do swej wielkiej boleści. Puszkę w końcu znaleziono, jeszcze jeden uścisk i dziecko pędem pobiegło do fortu.

Biedacy! przyszli z tak daleka na to śniadanie! było to dla nich taką rozkoszą; całą noc matka spać nie mogła, myśląc o tem i czy może być coś bardziej wzruszającego, jak ten zawód straszny, ten skrawek raju, który im się otworzył i zamknął tak brutalnie!

Jeszcze kilka chwil nieruchomie pozostali na tem miejscu, z oczami utkwionemi w ten loch podziemny, gdzie dziecko ich znikło. Nareszcie mężczyzna wstrząsnął się, zawrócił, kaszlnął parę razy dla dodania sobie odwagi i powiedział pewnym głosem:

— Chodźmy matko! w drogę!

Powiedziawszy to głosem pewnym, zuchwałym, zdążył nam głęboki ukłon i ujął żonę pod ramię. Patrzyłem za nimi aż do zakrętu drogi. Ojciec miał wściekłą minę. Jakimś desperackim ruchem machał torbą. Matka wydawała się spokojniejszą. Postępowała obok męża z głową spuszczoną, z rękami obwisłemi. Ale od czasu do czasu szal, okrywający jej wązkie ramiona, drżał konwulsyjnie.

Czy ból jest zawsze wrogiem naszym?

Wielu na to pytanie bez namysłu odpowiada zwykle potakująco; rzecz jasna, mówią, toż ból męczy nas, osłabia nasze ciało, czyni nas mniej zdolnymi do pracy, psuje nam humor itd. Sprawia nam więc i cielesne i moralne przykrości, a przerywając jako nieproszony gość zwykły nasz tryb życia, jest powodem nieraz większych lub mniejszych strat materjalnych.

Jest to sąd pobieżny. Skoro przyroda przysyła nam w gościnę ból jakiś, ma widać przyczynę poważną — bo żartów matka-przyroda z nami nie stroi. Jakaż to zaś przyczyna pojawienia się bólu?

Oto każdy ból jest nietylko posłańcem matki-przyrody, mającym nas ostrzedz o zbliżającem się niebezpieczeństwie... c h o r o b y! Ból powstaje, jak wiemy, przez gwałtowne podrażnienie kończyn nerwowych. A podrażnienie takie gwałtowne wtedy tylko następuje, gdy drobne cząsteczki nerwów zostały wstrząśnięte, wyrwane z równowagi czemkolwiekbądź. Starają się one naturalnie, w interesie zdrowotnym naszego ciała, powrócić jak najrychlej do utraconej równowagi, a w tej pracy człowiek myślący może im być pomocnym, stosując właściwe środki. Gdyby zaś ból nie ostrzegał go o zaburze-

niu nerwów, nie miałby człowiek świadomości naruszenia równowagi w swym ustroju i nieraz, skoro nerwy nie miałyby dość odpornej siły, zaskoczyłaby go choroba znienacka.

Często przyczyna zbytniego podrażnienia nerwów jest bardzo prostą i widoczną i wystarcza najmniejszy zasób uwagi, by ją usunąć, a przez to uchronić ciało od możliwych przykrych następstw. Gdy np. zbliżymy dłoń, lub inną część ciała zanadto do płomienia, nerwy podrażnione gorącem wczas nas ostrzegają, że należy się usunać, aby ciału nie zaszkodzić. Cóżbyśmy uczynili, gdyby nerwy nasze nie były tak wrażliwe, gdyby ból nie ostrzegł nas zawczasu o niebezpieczeństwie? Ciało nasze bez wiedzy naszej uległoby poparzeniom mniejszym, lub większym, a skutkiem nich mogłyby sie i choroby cięższe wywiązać.

Podobnie ma się rzecz z bólem, ostrzegającym nas o jakiej chorobie wewnętrznej. Odczuwając ból, ów sygnał niejako dawany mózgowi naszemu, dojść możemy do świadomości, gdzie w ciele naszem zakradły się nieporządki i możemy obmyśleć środki ku ich usunięciu.

Tak więc ból nie jest wrogiem, ale prawdziwie dobrodziejem naszym. Gdy nerwy mamy przytępione, nie odczuwają one z łatwością każdego podrażnienia, a wtedy częstokroć się zdarza, że zakradnie się do ustroju naszego jakieś choróbsko, o którem mówimy potem, że nie wiemy skąd się wzięło. Im bardziej przytępione nerwy, tem mniej odczuwamy bólu, a wiadomo, że u konających następuje chwila taka, iż chory już nic, a nic bolu nie czuje. Gdy ma przytomność umysłu i zdolność wypowiedzenia, iż nic go nie boli, krewni nieraz cieszą się sądząc, iż nastąpiło polepszenie i chory sam często się łudzi. Ale doświadczony lekarz wie, iż chwila taka, to zapowiedź niechybna bliskiej śmierci. Ustrój chorego poprostu już do zdrowia powrócić nie może, więc przyroda oszczędza niepotrzebnych wysiłków i nie nasyła mu już bolu, wołającego o opór.

Nerwy, rzec można, obumierają pierwej, niż reszta ciała.

Widocznem więc, że dopóki nawiedza nas ból wołając, byśmy się bronili przeciw chorobie, możemy miec jeszcze nadzieję oparcia się jej i powrócenia choćby do względnego zdrowia.

Nie utyskujmy więc na ból, ale pojmując jego znaczenie, jego posłannictwo w ciele naszem, wdzięczni bądźmy przyrodzie, że nam dała takiego przyjaciela.

Z tego względu też nie starajmy się, skoro ból jakiś nas nawiedzi, przytłumić go gwałtem środkami upajającymi, narkotykami (opium, morfina, kokaina itp.), ale starajmy się wybadać o jakiem to ostrzega nas niebezpieczeństwie, o jakiej chorobie i wtedy występujmy przeciw tej chorobie. Gdy nie ból jako taki jest niebezpiecznym, ale choroba, zaburzenie w ustroju, które ból sygnalizuje, przedstawia niebezpieczeństwo dla ustroju.

Zrozumiałem będzie każdemu, jak fałszywem jest ze względów powyższych przytępianie w sobie czułości nerwów, np. zapomocą palenia dużo tytoniu, lub upajania się alkoholem (spiritusem) itp. środków — przez to bowiem czynimy nerwy niezdolnymi do sprawowania swego urzędu, do stania na straży zdrowia naszego.

Jasnem też jest, że niewłaściwie postępują rodzice, którzy dzieci swe zbytecznie »hartują«, nie pozwalając im nigdy skarżyć się na ból jakikolwiek — i w tem nie należy przebierać miary. Nieraz dzieci takie zaniechają wczesnego powiadomieaia rodziców o niebezpiecznej dolegliwości, wstydząc się powiedzieć, iż ból dotkliwy w tej, lub owej części ciała odczuwają. Nie trzeba dzieci chować na piecuchów, na płaksów, ale nie trzeba i zbyt ostrem »hartowaniem« narażać ich ustroju na wytworzenie się w nim cięższych chorób, które trudniej potem pokonać.

Pamiętajmy, że ból ludzkiemu ciału nie wrogiem, ale szczerym przyjacielem, przed którym drzwi gwałtem zamykać nie trzeba!

Przewodnik Zdrowia.

Ciekawe rzeczy.

W śmieciach Londynu znaleźli zamiatacze uliczni w czasie od 1 października 1897 do 1 października 1898 roku co następuje: 127.382 fr. w monecie brzęczącej, 3.550 fr. w przekazach, 48.625 fr. w papierach wartościowych angielskich, 125.000 franków amerykańskich akcyj kolejowych, dalej 68 zegarków damskich, 6 męzkich, 212 pierścionków, 134 broszek, 618 bransoletek, 6 fałszywych szczęk (!), 98 portmonetek i przeszło 18 tysięcy fotografij. Tyle to nagubią ludzie w ruchliwej stolicy Anglji. Pieniądze i kosztowności zgubione przechowują się przez rok, a podobnie i... szczęki!

Zużytkowanie śmieci i odpadków w Anglji. W r. 1877 zbudowano w Glasgowie pierwszy zakład do przerabiania odpadków miejskich Powodzenie było olbrzymie. W roku 1883 zbudowano drugi zakład, w roku 1890 trzeci, a obecnie czwarty. Skoro wóz ze śmieciem przybywa do zakładu, notują czas przybycia wozu i ważą zawartość, którą następnie wyrzucają na pokład i sortują; popiół pada na spód i przesiany, zmieszany zostaje z ekskrementami, tworząc nawóz chętnie zakupywany przez rolników. Nawóz ten wrzuca się natychmiast do wagonów i zostaje wywożony. Pozostałe odpadki spalają się w piecach. W budynkach zastosowaną jest potężna wentylacja, dostarczająca 80 tysięcy stóp sześciennych powietrza na minutę. Nawóz wynosi 52 procent zawartości odpadków i sprzedaje się za 14.000 funtów szterlingów rocznie. Szkło, żelazo i t. p. sprzedaje się oddzielnie.

Upajające ciastka. W ostatnich czasach ojcowie rodzin i mężowie w Ameryce zaniepokojeni zostali coraz częściej pojawiającemi się u kobiet z wyższych sfer społecznych oznakami podchmielania. Pojawiły się one nawet u niewiast, które nie piły żadnych zgoła trunków. Zagadka wyjaśniła się w ostatnich czasach. Oto przekonano się, że alkohol można nietylko pić, ale i jeść. Gwoli temu, niektóre cukiernie fabrykować poczęły cukierki i ciastka wypełniane najmocniejszym koniakiem, likierami, arakiem itp. Cukiernie te niebawem zyskały sobie olbrzymią klientelę wśród amerykanek. Te, które za nic nie poniosłyby były do swych ust kieliszka z upajającym płynem, pożywały z całym spokojem słodycze tym płynem napełniane. Wkrótce pojawiły się nałogowe ciastkoi cukierkojadki. Złe ztąd płynące, przybrało zatrważające rozmiary. Wdały się też w końcu w tę sprawę amerykańskie biura hygieniczne, występując przeciw niesumiennym fabrykantom słodyczy, jako przeciw dostawcom szkodliwego dla zdrowia pożywienia. Pojawiła się też myśl »bojkotowania« wytwórców i handlarzy owych zgubnych słodyczy.

Wiek jelenia. Podług opinii znawców życia zwierząt, jeleń żyje około 30 lat. Inaczej jednak mówią ludzie, którzy śledzili życie jeleni przez kilka pokoleń. I tak: Kapitan Mc. Donald z Tulloch, który umarł w 1776 roku mając lat 86, opowiadał, że znał białe jelenie w Loch Treig przez 50 lat; jego ojciec znał je przez taki sam perjod czasu, a dziadek jego przez 60 lat przedtem. Z tego wywnioskować można, że jelenie żyją do 200 lat. W roku 1826 Mc. Donald z Glengarry ubił jelenia, który nosił na lewem uchu taki sam znak wypalony, jaki położył młodym jeleniom 150' lat temu niejaki Ewon Mc. Ian-Og. Podobne opowiadania można napotkać w tych okolicach Europy, które obfitują w jelenie. Chodzą nawet z ust do ust przysłowia o życiu zwierząt w różnych językach, które mówią, że, »koń żyje trzy razy tak długo jak pies, człowiek żyje trzy razy tak długo jak koń, jeleń trzy razy dłużej od człowieka, orzeł żyje trzy razy dłużej od jelenia, a dąb trzy razy dłużej od orła«.

Przemysł Palestyny. Palestyna jest ubogą i pozbawioną przemysłu prowincją państwa tureckiego. Tylko w Jerozolimie i w Betlehem rozwinął się odrębny przemysł, z powodu wielkiego znaczenia tych dwóch miast dla całego świata chrześcijańskiego. Przedmioty w nich wyrabiane — w Jerozolimie z drzewa oliwnego, a w Betlehem z konchy perlowej — otrzymały ogólną nazwę: dewocjonalie; roczna ich produkcja ma wartość mniej więcej miliona franków. W Jerozolimie znajduje się 20 warsztatów, gdzie 150 majstrów i czeladników wyrabia przy pomocy tokarni, z pni oliwnych różne towary galanteryjne, jak garnitury do pisania, skrzynki, szkatułki, koszyczki, ramki, stoliczki wschodnie itd. Oryginalniejszymi jeszcze są wyroby z konchy perłowej, produkowane w Betlehem. Robotnicy tamtejsi rzeźbią na zewnętrznej stronie muszli różne sceny z Ewangelii, jak narodziny, chrzest, ukrzyżowanie, Wieczerzę Pańską. Niektóre takie wyroby kosztują po 800 franków. Nadto, wyrabiane są małe krzyże, guziki, broszki, zakładki do książek, noże do przecinania papieru, a również krucyfiksy z drzewa oliwnego, z rzeźbami z konchy perłowej. Znacznym też jest wyrób różańców z konchy perłowej, produkowanych w 68 warsztatach, gdzie zajętych jest około 330 osób. Koncha perłowa przywożoną jest w większej części w postaci odpadków z Wiednia i z Ameryki północnej. Różańce wyrabiane też są z pestek oliwkowych, z drzewa oliwnego i kości wielbłądzich. Wreszcie tokarze wyrabiają też w Betlehem z czarnego wapienia, znajdującego się na zachodniem wybrzeżu morza Martwego filiżanki, talerze, kubki itd. Znaczna część tych wyrobów sprzedawaną jest na miejscu pielgrzymom i turystom. Wyroby z drzewa oliwnego wywożone są przeważnie do Anglii, Niemiec, Ameryki północnej, a z perłowej konchy do Ameryki środkowej i południowej Francji i Hiszpanii.

Teatr — literatura — sztuka.

Opera. Przedmowę do sezonu operowego stanowiły: *Traviata* i *Straszny dwór* w tymczasowej obsadzie.

A więc najprzód p. Hofman, jako Alfred i Zbigniew. Głos w górnych tonach o czystej tenorowej barwie, ale słaby i niepewny — nisko i w średnicy ściśnięty, gardłowy, robi wrażenie nienaturalnej emisji. Z tem wszystkiem, gdy p. Hofman popracuje długo i dobrze w operetce, może się z niego wyrobić dobry tenor do partyj drugorzędnych w operze. Panna Bohussówna po raz pierwszy śpiewała Traviatę i śpiewała, nietylko dobrze, ale prawdziwie po operowemu.

Panna Olszewska debiutowała w *Strasznym dworze* w jednej z mniejszych partyj sopranowych rozdzielonych pomiędzy córki miecznika. Panna Olszewska powinna mieć żal, przedewszystkiem, do swego nauczyciela: p. Wysockiego, który ją, w ogóle, puścił na scenę, a puściwszy, dał partję niewdzięczną, bo jeśli jedną, jedyną piosnkę, zaśpiewa debiutantka słabo, a tak właśnie zrobiła panna Olszewską, to już później nie ma się czem poratować.

Dzielnego naszego basa p. Jeromina, który się znowu zaangażował na cały sezon we Lwowie, a który wystąpił w *Strasznym dworze*, przyjmowała publiczność gorąco — serdecznie — owacyjnie. Ogromną sympatją cieszy się p. Jeromin u lwowskiej publiczności, na co pod każdym względem zasługuje

Dawny i dobry znajomy: p. Szymański, doskonały baryton, zaangażowany na ten sezon, wystąpił w *Traviacie* śpiewając wybornie partję ojca Alfreda, oraz partję miecznika w *Strasznym dworze.* Publiczność gorąco oklaskiwała p. Szymańskiego. —

Cyrano de Bergerac, głośna 5-aktowa komedja romantyczna Edmunda Rostanda w wybornem tłomaczeniu p. Kasprowicza, ukazała się na lwowskiej scenie po raz pierwszy w ostatni poniedziałek.

W ostatnich czasach, żadne dzieło dramatyczne nie poprzedzone zostało takim rozgłosem, jak *Cyrano de Bergerac*, rozgłosem usprawiedliwionym, chociaż na scenach niemieckich, mimo dobrego przekładu Fuldy, komedja ta nie wywołała takiego entuzjazmu, jak w Paryżu, a krytyka niemiecka porobiwszy rozmaite zastrzeżenia, przysłoniła się parasolem szowinistycznej tendencyjności, której źródła należy szukać w polityce, a ta ostatnia, jak wiadomo, pod pruską pikelhaubą, zamąciła, nie tylko w głowach niemieckich, ale zatruła ich sumienie jadem anticywilizacyjnym, chociaż ciągle gadają i piszą o swojej »kulturze«.

Ale dzieło Rostanda w kilku kierunkach robi zwrot w literaturze, a zwrot ten, widocznie, odbił się echem w sercach tłumów i oto skąd się wzięła popularność *Cyrana de Bergerac*, popularność w całem znaczeniu tego pojęcia, dodatnia. W *Bergeracu* najprzód jest zwrot od naturalizmu do poezji romantycznej, potem protest przeciw szablonowi i tej niwelacyjnej centralizacji, w której indywidualność i oryginalność mają zupełnie utonąć według dzisiejszych prądów już, zresztą, dzisiaj słabnących. Ten indywidualizm w *Cyrano de Bergerac* przeradza się we wzniosłe poświęcenie — zwrot, zatem, w kierunku romanty-

cznym, który w ostatnim czasie, co raz częściej i, co raz bardziej stanowczo objawia się w życiu umysłowem Francji. Otóż, rzadko miłość idealna tak silnie i tak świetlano nie zajaśniała, jak w *Bergeracu*. Kochając całą duszą swoją krewniaczkę: piękną Roksanę bez wzajemności, Bergerac wyrzeka się jej i swojemu rywalowi oddaje na usługi swój rozum, naukę, talent poetycki, odwagę rycerską — wszystko, aby uszczęśliwić kobietę, którą kocha. a która nawet o tem nie wie. I owoż to poświęcenie Bergeraca w stosunkach życiowych, na które się obecnie nie zwraca uwagi, a nawet w płytkiej i głupiej modernistycznej humorystyce drwi z niego — ujawnia także zwrot znamienny ku idealnym pojęciom, o miłości, które były aktem wiary naszych i nie naszych romantyków, bo, ostatecznie, historyczna postać Cyrana ponad tłum ówczesnych zawadjaków — rycerzy i zwykłych. rymotworczych literatów, gdyby nie to, właśnie, idealne poświęcenie, niczem się nie wyróżniała.

Bergerac zeszpecony ogromnym i niekształtnym nosem w dramacie zamienia nieraz sytuacje tragiczne na komiczne robiąc czasem wrażenie karykatury. Dziwactwa jego wywołują komizm trochę miejscami niesmaczny — bo na scenie komizm i tragizm utrzymać w jednej osobie w artystycznej harmonji, jest niepodobna, a Szekspir, genjusz literacki i psycholog głęboki wystrzegał się takiej kolizji, czego Rostand, mając za sobą przykłady w dziejach francuskiej literatury (»L'homme qui rit« Wiktora Hugo), uniknąć nie potrafił. Akt piąty jest też przeładowany.

Tyle o literackości i artystyczności samego dzieła, oraz głównej postaci w *Cyrano de Bergerac*. Co do innych postaci, to mniej, lub więcej są tylko przystawkami, nie wyłączając nawet Roksany i pasztetnika Ragueneau, trochę wydatniejszemi. W *Cyranie*, można powiedzieć głównie działają: Bergerac i tłumy. Z tego powodu sztuka pod względem scenicznej wystawy i reżyserji przedstawia szkopuły i trudności, które wymagają, nietylko znacznego nakładu pieniężnego, lecz dużej znajomości warunków teatralnych, scenerji, zmysłu artystycznego, przenikliwości informacyjnej, smaku i zdolności szybkiego orjentowania się w tym prawdziwym chaosie kolosalnych scen zbiorowych.

Wszystko to w wystawieniu *Cyrano de Bergerac* na lwowskiej scenie znalazło najzupełniejsze zastosowanie, a sztuka cała wystawioną została pod względem kostiumowym, dekoracyjnym, rekwizytowym i reżyserskim w sposób nie ustępujący najpierwszym teatrom europejskim. Dyrekcja i reżyserja złożyły dowód takiego uzdolnienia literackiego i artystycznego, a wreszcie nie żałowania nakładów dla honoru sztuki, że nietylko musi to być zapisane na wydatny *plus*, lecz zaszczyt im przynosi

Ze wspaniałą i stylową wystawą połączyła się gra ogólna rozpryskująca się w tłumach ruchomych i barwnych, huczących i szumiących, jak górskie potoki. Nadaniem temu wszystkiemu kipiącego życia utrzymanego w ramach harmonji artystycznej i teatralnego ładu w chaosie, złożył p. Walewski dowody niepospolitych zdolności i talentu dzielnego reżysera — przy głównem kierownictwie i pod egidą pana dyrektora Bandrowskiego.

Tytułową rolę gra p. Chmieliński. Były pewne obawy, co do indywidualności telentu pana Chmielińskiego względnie do postaci Bergeraca. Pan Chmieliński usunął te obawy, a przytem okazało się, że Bergeraca, jako postać, nie jako charakter, można nagiąć do indywidualności artysty, który ją przedstawia, byleby ten artysta był obdarzyny niepospolitym talentem, artystyczną intuicją i tym zmysłem aktorskim, który ogarnia postać i nie uroni z niej, ani jednego rysu na marne. Bergerac p. Chmielińskiego był postacią artystycznie skończoną, opracowaną w najdrobniejszych szczegółach, przeprowadzoną w grze konsekwentnie z uwydatnieniem silnem tych psychologicznych właściwości i momentów, które w roli są dominujące. Sceny miękkiego liryzmu, w którym roztapiała się rogata natura gaskońskiego muszkietera — odgrywa p. Chmieliński po mistrzowsku.

Roksaną była pani Stachowiczowa. Rola nie wielka i, co prawda, nie wymagająca zbytniego nakładu talentu — oczywiście, grała ją p. S. doskonale wyposażając wdziękiem i słodyczą.

Po za temi dwoma postaciami i tłumami zajmującymi całe wielkie sceny — inne postacie, choć ich jest wiele, nie stanowią takich indywidualności artystycznych, któreby się odznaczały pewną odrębną chorakterystyką — mimo trochę większych, lub mniejszych ról, giną one wszystkie i stanowią tylko tło dla Bergerac'a Większe nieco role grali z całą precyzją artystyczną i pomysłowością aktorską pp. Feldman pasztetnika, Wostrowski Christiana, Hierowski, Valverta, Wysocki de Breta, Walewski Legniera, Kliszewski, jednego ze szlachty Kwiatkiewicz mieszczanina, Nowacki szlachcica pojedynkującego się i cały personal, nawet z pomocą operetki rozpryskiwał się w drobnych rolkach. Z pań, w małych rolach biorą udział: Gostyńska, Cichocka, Kwiecińska, Jastrsębiec Ogińska, Nałęcz i Modzelewska.

Bardzo ładną, o motywach charakterystycznych i stylowych skomponował p. Słomkowski muzykę do *Bergerac'a*.

Pożyteczne i praktyczne wiadomości.

Jakie rośliny wymagają wapna? Żadna roślina w rolnictwie hodowana nie rozwinie się należycie, gdy wapna jej zabraknie — jednakże nie w równej ilości one wapna tego wymagają do swego rozrostu. Obfite żniwo ujmuje roli na hektar mniej więcej takie ilości wapna:

Pszenica, żyto jęczmień owies	20— 30	kilogrm.
Groch, wyka bób	70— 80	„
Ziemniaki i buraki, oraz ćwikła	40— 80	„
Koniczyna biała, lub czerwona	80—150	„
Lucerna. sporek	200—300	„
Rzep konopie, chmiel, tabaka	150—250	„

Podług tych zestawień, zebranych na mocy badań chemicznych. wykazuje się, że zboże i ziemniaki udać się mogą jeszcze na roli dość ubogiej we wapno tam, gdzie rodzaje koniczyny bardzo licho się rozwijają. Najwięcej wapna wymaga lucerna Ponieważ ona przez lat wiele rośnie na jednem miejscu, należy rolę zasilać wapnem, jeżeli z natury nie jest wapnistą. Pod ziemniaki i buraki nie należy wcale dawać wapna przed sadzeniem tychże, w czasie uprawy, albowiem stają się chropowatemi.

Kąkol w pośladzie dawany zwierzętom i drobiowi jest niezdrowy, często trujący, gdy dawany w większej ilości, ale nie każdemu rodzajowi zwierząt szkodliwy. W cesarskiej rolniczej stacji doświadczalnej we Wiedniu robiono próby, czy wogóle i ile dawać można kąkolu inwentarzowi? Celem próby zaczęto paść świnie; wzięto do tej próby rozmaitego wieku i rasy. Wykazało się, że od 40% czystego kąkolu, zwierzęta te były zdrowe i żadnego skutku kąkol na nie nie wywierał. Powiększono dawki kąkolu z innem ziarnem do 70 procent kąkolu i świnie nie chorowały, chociaż przez kilka miesięcy paszę tę im zadawano. Zato więcej szkodliwie oddziaływa pasza z kąkolu na inne zwierzęta. Młode jagnięta niszczeją już po jednodniowej paszy, do której dodano 50 gramow kąkolu na sztukę. Cielęta niszczeją od dawki 200—300 gramów kąkolu. Konie, woły robocze, krowy i stare owce zjadają bez utraty zdrowia dawkę 1/5 do 1/4 mąki z kąkolu domieszaną do zwykłej paszy. U krów dojnych kąkol jednakże ujemnie wpływa na wydajność mleka.

Szkodliwość, zarazem karygodność chłodzenia mleka przez w puszczanie w nie kawałków lodu. Stwierdzono przy chemicznym rozbiorze prób mleka, że je chłodzono grupkami lodu i z tego powodu dyrekcja policji w Berlinie zakazuje tego, albowiem chemiczna analiza wykazała, że w lodzie znajdują się bakterje, które rozwijają się w mleku i zdrowiu ludzkiemu są szkodliwemi. — Z drugiego powodu wydano zakaz chłodzenia mleka lodem, że grupy lodu rozpuszczają i dają wodę, która przyczynia się do rozcieńczenia mleka, a wiadomem jest, że dolewanie wody do mleka jest: fałszowaniem materjałów spożywczych, zatem podpadającem karze.

Pojenie zwierząt domowych. Ilość wody, jaką zwierzęta potrzebują, winna być właściwie oznaczoną przez nie samo, jako to istotnie ma miejsce przy urządzeniu automatycznych poideł dla bydła. Trzeba jednak pewną miarę zachowywać, zwłaszcza przy zadawaniu paszy płynnej. gdyż inaczej w końcu zdolność produkcyjna zwierząt cierpi na tem i to nawet u krów dojnych, które najwięcej wody przecież potrzebują; powinien być zachowany pewien stosunek między ilością pokarmu stałego a płynnego. Średnio można przyjąć, że na 1 kg. stałego pokarmu suchego potrzeba dla konia 2 do 3 litrów wody, dla bydła rogatego 4 do 5 l., dla owcy 2 l., a dla świni 7 do 8 l. wody, przyczem jest obojętnem, czy ta ilość zawiera się w paszy wodnistej czy osobno zostaje podają. Podług powyższego biorąc, potrzebuje koń duży przy suchej paszy dziennie około 20 do 30 l. wody, bydlę dorosłe 30 do 50 l. Owca 1½ do 3 l. Przy paszy zielonej, albo żywieniu burakami, zrzynkami buraczanymi, wywarem, zmniejsza się ta potrzeba odpowiednio, a bardzo znacznie, Ważnem jest także nadzwyczajnie, aby wodę podawać o stosownej temperaturze, a mianowie najlepiej od 8 do 12° R. mającą. Gdy jest cieplejsza, to zwierzątom nie smakuje i nie zaspokaja należycie pragnienia, gdy znacznie zimniejsza, to powoduje co najmniej dreszcze, albo zaburzenia w trawieniu połączone z boleściami, kolkę i biegunkę. W pewnej stadninie po wprowadzeniu pojenia wodą, mającą tylko 5° R. ciepłoty na 90 ogierów w ciągu 14 dni zdarzyło się 20 wypadków gwałtownej kolki, z których kilka skończyło się nawet śmiercią. (Rol.).

Obuwie filcowe dla koni. Niemieckie stowarzyszenie ochrony zwierząt wprowadziło obuwie filcowe na kopyta koni i za darmo rozdało je w znacznej liczbie dorożkażom, aby się przekonać o wytrzymałości tej ochrony kopyt. Pierwotnie wprowadzono je w innym celu. Kiedy jeden z dorożkarzy koniowi, który wyłamał róg i zgubił podkowę, założył na nogę obuwie filcowe i tak mógł go używać bez okucia do dalszej jazdy, zużytkowano to zastosowanie obuwia w miejsce podkowy i obecnie rozpoczęto próbę, czy długo potrafi filc wytrwać.

Od Redakcji i Administracji.

Wi. Wi. Drukować nie będziemy.

Całunek. Nie dowcipny.

K. w K. Prosimy.

Zenobja. Owszem — ale krótkie.

Rodak w New-Yorku. Bez zapłacenia naprzód prenumeraty — pism nie wysełamy.

Aktorka. Redaktor dziękuje za komplementa w imieniu „wielu".

Autorom wierszy: „Gołębie", „Cudotworczyni", „Miłość bogatego młodzieńca" i „Wojna domowa" — utwory panów i pań drukowane nie będą.

Nadesłane.

Telefon Nr. 390.

H. Dattnera

ul. Grodecka 3 a I. piętro.

Biuro

Pierwszorzędnych kopalń węgla kamiennego i koksu

we Lwowie ul. Gródecka 3. a

poleca do wszystkich stacyj wagonami **najlepszy węgiel górnośląski** dla fabryk, gorzelń, młynów parowych, cegielń i t. p.

jakoteż

Węgiel salonowy do opalania pieców i kaloryferów

z dostawą do domu

po cenach umiarkowanych.

Własne składy: we Lwowie i na dworcu kolejowym.

Adres dla listów i telegramów:

Dattner Lwów. (7270-4-3).

Wyrabiane od roku 1882

odznaczone medalem srebrnym na wystawie hygieniczno-lekarskiej we Lwowie w roku 1888.

zaszczycone odszczególniającemi świadectwawi i polecone przez największe znakomitości lekarskie jak:

Dr C. von Brauna, prof. dr. Draschego, dr. Lorinzera z **Wiednia**, dr. Biesiadeckiego, dr. Jandę, dr. Weigla, dr. Widmanna, dr. Edwarda Sawickiego, dr. Ziembickiego ze **Lwowa** prof. dr. Korczyńskiego i prof. dra Jakubowskiego z **Krakowa**, c. k. radcy sanitarnego prymaryusza dra Wolana, dra Strzeleckiego, dra Stockioewa w **Czerniowcach** i wielu innych.

WINA LECZNICZE

aptekarza Karola Mikolascha we Lwowie

w ćwierć litrowych flaszkach z kieliszkiem jak:

Wino chinowe zł. 1·50 — Wino chinowo-żelaziste zł. 1·50 — Wino rzewieniowe (rumbarbarowe) zł. 1·50 — Wino pepsynowe zł. 1·50 — Wino peptonowe zł. 1·50 — Wino Condurango zł. 1·50.

Główny skład na Galicję w aptece PIOTRA MIKOLASCHA we Lwowie.

We Lwowie i na prowincji we wszystkich renomowanych aptekach. Skład główny **w Krakowie** u pana *Gralewskiego*, aptekarza. **We Wiedniu dla Austrji. Węgier** i pan w ościennych u p. W. Magera, III Heumart, 3. [7199-6-2].

Wystrzegać się naśladownictw i podrabiań bacząc na markę ochronną i — na własnoręczny podpis, do każdej flaszki dołączony.

Fabryka pudełek

i tutek cygaretowych

W. BEŁDOWSKIEGO

„N O R I S“

w Krakowie, Poselska l. 20.

Jak ocenić dobroć tutki cygaretowej

1) Dobra tutka cygaretowa nie sprawia w ustach goryczy, pieczenia w krtani i na języku, suchości i drapania w gardle, wreszcie nie pobudza do kaszlu.

2) W czasie palenia, bibułka nie powinna naciągać tłuszczem i nie czernieć.

3) Spala się równo z tytoniem, zaś **popiół tytoniu** powinien być **jednostajnej barwy popielatej**, a nie pokryty **czarną żywicowatą** warstwą **zwęglonej bibułki.**

4) Nie powinna być zbyt cienką, a przeźroczystą, tylko przeświecające, w dotknięciu palcami wilgnąć, bo zawiera CELLULOZĘ (drzewo) i glicerynę. Te spalając się, odurzają i wywołują krztuszenie się, pieczenie w ustach, krtani i na języku.

Powyższe próby oparte na naukowych i ścisłych badaniach chemicznych i fizycznych, oraz na doświadczeniu wytrzymują Tutki cygaretowe fabryka

„N O R I S“

Dla łatwego wyboru tutek polecam:

Tutki „Maïs Numa“
„ **„Maïs Albert“** } do tytoni lekkich
„ **białe „Noris“**

Tutki „Maïs Wallis“
„ **„Maïs de Paris“** } do tytoni średnio mocnych

Zwracam uwagę na tutki **„Maïs** gdyż są znakomitej jakości.

Do nabycia w trafikach i handlach

(7095 — 12 — 1).

Kupujmy co kraj wytwarza!

Na sezon obecny

Sukna z Żywca, Sławuty, Leszniowa
Burki podróżne sławuckie
Serdaki damskie, męskie, i dziecinne
Barchany białe i kolorowe
Koce na łóżka
Derki na wózki i konie
Kilimy i patarafki
Płótna białe
Bielizna stołowa
Krawaty męskie
Rękawice wełniane

Wyłączne zastępstwo dla Galicji.

Makat z Buczacza

JW. Oskara Hrabiego Potockiego,

oraz wszelkie inne wyroby przemysłu krajowego poleca

Bazar krajowy

Krajowego Związku przemysłowego we Lwowie ul. Trzeciego Maja l. 5.
Ceny niskie — towar doborowy.

[7250—4—4)

TOPOLNICKI i SP.

skład drzewa budowlanego

i stolarskiego

Lwów, Biuro: Syktuska 36

Skład: Grodecka 127.

Telefon 530. (7262-8-5)

3% Los austryackiego Zakładu kredytowego ziemskiego

sześć (6) ciągnień rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.

4 % Losy wegier. Banku hipot.

trzy (3) ciągnienia rocznie

główna wygrana:

50.000 złr. a. w.

jakoteż wszelkie losy Czerwonego Krzyża i serbskie 10 frankowe sprzedaje najtaniej

Sokal i Lilien

dom bankowy
i kantor wymiany.

Zlecenia z prowincji wykonujemy bezwłocznie nie doliczając prowizji azna żądanie zaliczkę. 7227-st.)

Józef Tillinger

introligator we Lwowie

na ulicy Karola Ludwika l. 5

poleca swoją:

pracownię introligatorsko-galanteryjną

i wykonuje wszelkie roboty
w zakres introligatorstwa wchodzące
mianowicie:

teki na dyplomy aksamitne i skórzane i wszelkie inne oprawy książek od najskromniejszych do najwykwintniejszych, w większych ilościach znacznie taniej wszelkie broszury oblicza tak, że śmiało może konkurować z zagranicą.

Ręcząc za dobroć materjału i wykończenie, uprasza o najliczniejsze zamówienia. (6946-st.-17).

Handel korzenny

wiktuałów, delikatesów i win

połączony

z pokojem do śniadań

ANTONIEGO HANNAKA

Czerniowce, ul. Główna 14

poleca

wszelkie towary korzenne, wiktuały i delikatesy. Handel mój zaopatrzyłem również w wszelkie gatunki wiktuałów, które do użytku domowego i kuchennego są potrzebne. Czekolady z pierwszorzędnych firm, wyśmienite gatunki kaw i herbat chińskich i rosyjskich. Owoców południowych, delikatesów, marynat i konserw. Wina węgierskie, austryackie, rumuńskie, reńskie, hiszpańskie i szampańskie, Rosolisy, Koniak francuski i węgierski, Rumy z Jamaiki i Bremen.

Mając długoletnią praktykę z pierwszorzędnych domów handlowych i odpowiedni kapitał, dają mi możność tak umiarkowaną ceną, jakoteż doborowym towarem i rzetelną obsługą zadowolnić pod każdym względem Szan. P. T. Publiczność.

Zamówienia zamiejscowe uskuteczniam odwrotną pocztą nie licząc [7286-4-2] **opakowania.**

Markusa Sprechera Synowie

we Lwowie

polecają:

obfity skład **żelaza** sztabowego i fasonowego, **blachy** żelaznej **pocynkowanej, cynkowej, miedzianej**, i oraz blachy na kotły rezerwoarów i dna, **trawersy i starych szyn** kolejowych; **rur wychodkowych** kutych, rur gazowych, wodociągów studziennych i łączniki, **pomp** i ich części składowych, wszelkiego **okucia budowlanego**, oraz sierpów i kos, przyborów dla kuźni, jako to: **kowadeł, szrubsztaków**, młotków i t. p. **pługów** i wszelkich sprzętów gospodarskich.

Telefon Nr. 373 (7261-6-2)

Tylko krótki czas!

Pozostałe

w Krynicy

towary galanteryjne, modne i t. d.

sprzedaje

dopóki zapas starczy po znacznie zniżonych cenach.

ZYGMUNT WRZEŚNIOWSKI

ul. Akademicka l. 12

obok łazienek św. Anny.

za bezcen

[7268-4-4)

Zakład kąpielowy

(dawniej Sabata)

w Stryju

elegancko urządzony

Do dyspozycji: parnia, tusze zimne i letnie, basen letni i zimny, wanny z tuszami, wanny nasiadowe. Na żądanie sporządza się: Kąpiele siarkowe, solankowe i iglicowe (ze znakomitych preparatów Dr. Sedlitzky'ego.)

Porządek kąpieli: Parnia dla kobiet: we wtorki i środy od godziny 12-tej do 6-tej po południu. Parnia dla mężczyzn: cały tydzień z wyjątkiem poniedziałków i godzin dla kobiet.

Wanny cały tydzień.

CENY: Parnia I. klasy 30 ct. 10 biletów 2 zł. 50 ct. II. klasa 20 ct. 10 biletów 1 zł. 50 ct. Wanna I. klasy 60 ct. 10 biletów 5 zł. II klasa 30 ct. 10 biletów 2 zł. 50 ct. Basen (Pływalnia) 10 ct. Za użycie bielizny 5 ct.

Maseur i operator nagniotków na usługi.

Zakład otwarty od godz. 6. rano do 9½ wieczór.

(7248 3—3)

Galicyjski Bank kredytowy

począwszy od 1. lutego 1890 roku wydaje

4% Asygnaty kasowe

z 30-dniowem wypowiedzeniem i

3½% Asygnaty kasowe

z 8-dniowem wypowiedzeniem.

Wszystkie zaś znajdujące się w obiegu **4½% Asygnaty kasowe** z 90-dniowem wypowiedzeniem oprocentowane będą **począwszy od d. 1. maja 1890. po 4%** z 30-dniowym terminem wypowiedzenia.

Lwów, dnia 31. stycznia 1890.

(7226-st. ***Dyrekcja.***

(Przedruk nie będzie opłacony).

W. ROMANISZYN

Pracownia krawiecka

we Lwowie ul. Sykstuska 19.

Poleca doskonałą i tanią robotę tak cywilną, jak i wojskową i dla panów urzędników uniformy.
[7296-2 1]

Główny skład wędlin i wyrobów masarskich.

Franciszka Ichniowskiego

we Lwowie,

przy ul. Batorego l. 6.

poleca znanej dobroci wyroby w wielkim wyborze. Zamówienia z prowincji uskutecznia się natychmiast.
[7297-2-1]

Kantor wymiany

c. k. uprzyw. galicyjskiego akcyjnego

Banku hipotecznego

kupuje i sprzedaje

wszelkie papiery wartościowe i monety

po najdokładniejszym kursie dziennym, nie licząc żadnej prowizji.
(7300-st.-1)

Celem położenia tamy nadużyciom niektórych restauratorów, mam zaszczyt podać do publicznej wiadomości, że

Piwo okocimskie

sprzedają na szklanki tylko następujące firmy:

aum A. Hotel Warszawski **Arnold BN.** Rynek. **Arnold Wilhelm,** Batorego 18, **Władysław Bukalski,** Szeptyckich **Ceilerin Wilchelm** ul. Wałowa 9. **Józef Ehrlich,** kawiarnia teatralna, **Drucker Eljasz,** ul. Grodecka. **Jakób Fried,** Rynek 13., **Grünfeld Adolf** Janowska 7. **Wilhelm Hellman,** ulica Kaźmierzowska, **Herold Antoni** Sykstuska 14, **Józef Jankowski,** ulica Halicka, **Kraus Adolf** Skarbkowska 9, **Kostkiewicz August,** ul. Wałowa 13, **Władysław Kozłowski,** ul. Gródecka l. 79., **Michał Landes,** ul. Skarbkowska l. 4., **Jakób Landes** ul. Halicka, **Lemel S.** Grodecka l. 54, **Löwenheck Jakób,** ul. Trybunalska, **Jan Ludwig,** ul. Krakowska l. 7., **Naftuła Toepfer,** ul. Trybunalska l. 12, **Pomeranz** Rynek 7, **Karol Przybylski,** ul. Teatralna, na przeciw kościoła Jezuitów, **Pietrzycki Edward** ul. Pańska, **Abraham Rothberg,** ulica Kaźmierzowska pod „Złotym capkiem“, **Antoni Rudziński,** restauracja kolejowa, **Samuel Reich** Rynek, 5, **Hermann Salzberg,** ul. Kołłątaja, róg ul. Kaźmierzowskiej, **Rothberg Maks** ul. Gródecka l. 20, **Schwarzer Osias,** ul. Grodecka, **S. Stoff,** ul. Sobieskiego, **Stelmachów Jan** ul. Chorążczyzna 6, **Sonnenschein Dawid** róg Gródeckiej i Solarni, **S. B. Tänzer,** Chorążczyzna l. 23. **Teofil Teichman,** Dominikańska l. 2. **Ważny Jan** Czarneckiego, **Wolisch K.** ul. Grodecka **Zuckermann,** ul. Zimorowicza l. 18, **Zukermann S** ul. Leona Sapiehy. **Życzyński, L.** róg ul. Mikołaja i ul. Zyblikiewicza. **Zimmet L.,** Kazimierzowska.

Główne zastępstwo i skład piwa beczkowego u pp. **Ozyasza Wixla i Syna** ul. Bogusławskiego l. 13. Telefon nr. 6.

Skład piwa flaszkowego u p, **S. Wiesera** ul. Sykstuska l. 14. Telefon nr. 149.

Na przyszłość ogłaszać będę każdej niedzieli w dziennikach lwowskich nazwiska restauratorów, którzy piwo okocimskie sprzedają, a nadto zastrzegam sobie wystąpić w drodze sądowej przeciwko sprzedaży obcego piwa, pod marką okocimskiego. (7224-10-6).

Jan Götz, browar w Okocimie.

---

kie papiery i inne potrzeby kancelaryjne, oraz towary. wchodzące w zakres palenia, najtaniej dostać można w nowo otwartym sklepie.

S. W. Niemojowskiego

Lwów, plac Marjacki l. 8

Cenniki na żądanie franco (7221-st-28)

⁂ *Co jest Chleb św. Antoniego?* ⁂

Dokładny opis, jako i jeden zeszyt Chleba rozsyła **Księgarnia katolicka, Poznań,** Rynek 53

za darmo

każdemu, kto poda swój adres.
(7292-10-1).

ANTONI ENDERS

we Lwowie Rynek l. 26

poleca:

w największym wyborze

po cenach najniższych

Towary drobiazgowe

i przybory do

krawieczyzny damskiej,

Hafty zaczęte

i ukończone na KANWIE,

suknie i jedwabiu,

Włóczki, filoselę filoflos, kordonki i sznelki do haftu.

Najlepsze struny

do wszystkich instrumentów.

(7267-6-5)

Mam zaszczyt zawiadomić Szanowną P. T. Publiczność, iż otworzyłem

we Lwowie

przy ul. Sykstuskiej l. 26

Bazar kwiatowy

i że wszelkie zamówienia w zakres ogrodnictwa wchodzące, w miejscu, tudzież na prowincji, jako to:

Bukiety ślubne i karnawałowe, wieńce itp.

wykonuję po najniższych cenach.

Zaopatrzyłem się w odpowiednie siły wykonawcze i sądzę, że będę mógł uczynić zadość wszelkim wymaganiom Szan. P. T. Publiczności.

Z najwyższym szacunkiem

Dr. Eugeniusz Połończyk i Ska.

ADRES

BAZAR KWIATOWY

Sykstuska 26.

(7278-6-4).

LWOWSKIE

Laboratorjum Chemiczne

świadectwem z d. 24. marca 1892 do l. 1918, stwierdziło, że jedynie tutki nieklejone z fabryki

S. W. Niemojowskiego

(7217-st-28). WE LWOWIE,

są znakomite i zdrowiu nieszkodliwe.

Do nabycia w sklepach:

S. W. Niemojowskiego

we Lwowie: plac Marjacki 8, Jagiellońska 6.

Ulica Batorego l. 2.

Handel towarów korzennych.

Delikatesy, wina

i wszelkie towary korzenne

Leonard Solecki

poleca

z najlepszych źródeł

i najlepszej jakości

po jak najtańszych cenach. (7276-8-4)

Handel towarów korzennych.

Ulica Batorego l. 2.

Węgle

WĘGLE

Węgle

Galicyjskie akc. Tow. handlowe

Lwów, ul. Jagiellońska l. 3.

Dostarcza do wszystkich stacyj kolejowych węgle z pierwszorzędnych kopalń dla gorzelń, młynów, browarów, lokomobil etc.

po najumiarkowańszych cenach.

We Lwowie odstawia na opał mieszkań węgle kostkowe salonowe płukane, najlepszej jakości, w workach plombowanych po 50 kl.

Dla klasztorów i zakładów dobroczynnych ceny wyjątkowe. (7277—6—4).

Znane z dobroci i rzetelności także po za granicami kraju c. k. uprzyw. Fabryk przędzalń i tkanin

FILIPA HAAS i SYNÓW

Filja we Lwowie, przy ul. Jagiellońskiej l. 3.

poleca wyroby własne jak:

Nowości wszelkiego rodzaju **w materjach meblowych, Dywanach Firankach** białych i kremowych, **Portierach materjalnych Kapach, Serwetach Kołderkach** flanelowych, chodnikach, **Tapetach** i tp. Towar doborowo przedni, ceny przystępne, o czem Szanowna P. T. Publiczność osobiście przekonać się raczy. (7216-8-7).

Osobliwości w **Dywanach** perskich, smyrneńskich, także czysto stylowanych ręcznie wiązanych (Knüpfteppiche) wyrób własny — w wielkim wyborze po stałych cenach fabrycznych. Dla towarów wysortowanych i resztek, cena do połowy zredukowana.

Illustrowane cenniki na żądanie franko wysela się.

!Najwyborniejszych!

Pół Kl. Cukrów deserowych zł. 1.20.
Pół Kl. biskwitów angielskich i herbatników zł. 1 —

oraz

CZEKOLADĘ I KAKAO

w różnych gatunkach

poleca

H. TRETER

właściciel parowej fabryki czekolady.

Lwów,

plac Marjacki l. 7. róg ul. Kopernika.

Wyroby powyższe zostały odszczególnione na wystawie krajowej we Lwowie najwyższą nagrodą **medalem złotym,** nie można ich zatem równać z lichemi naśladownictwami
(7284-8-4]

Jan Nowak

w Zaleszczykach

poleca

towary korzenne, delikatesy i wina.

Wyłączna sprzedaż

koniaku hr. Esterhazego

po następujących cenach:

1/2 Fl. 0 90 1·— 1·25 1·50
1/1 Fl. 1·50 1·80 2·20 2·75

Artykuły kancelaryjne, Bielizna męska, Krawaty, Mydła i Perfumerya.

Skład fabryczny prawdziwych egipskich tutek cygaretowych.

Wszelkie zamówienia odwrotną pocztą. (7285-4-2).

PIEKARNIA (7218-st.-51). **EDMUNDA WŁOSZYNSKIEGO** we LWOWIE, poleca swe wyroby mączne.

Składy pieczywa. ul. Halicka pod l. 14. ul. Krakowska od l. 17. ul. Kopernika pod l. 10. ul. Sykstuska pod l. 52.

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: **Fr. Ks. Kowaliszyn.**

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego